

Operacja „skrytki”

W grudniu 1977 roku „Kurier Polski” opublikował cykl reportaży z poszukiwań schowków, zainstalowanych w warszawskich domach w czasie hitlerowskiej okupacji. Gazeta zaapelowała do czytelników o współpracę: *W podłogach, ścianach, starych meblach, bibelotach, zabawkach, a nawet papierośnicach, korkach, torbach, walizach, otówkach, latarkach i innych przedmiotach ukryta jest część historii zmagania naszego narodu z hitlerowskim okupantem. Być może czytelnicy pomogą nam w naszych poszukiwaniach. Oczekujemy więc na Wasze listy i telefony.*

Odzew był niemal natychmiastowy. Posyłały się listy, rozdzwoniły telefony.

W 1988 roku wieloletni reporter i publicysta „Kuriera Polskiego” **Juliusz Smoczyński** na podstawie zebranych materiałów wydał książkę „Operacja skrytki”. We wstępie do niej pisze: [...] *Nie jestem historykiem., mój zawód to dziennikarstwo i dla tego w tej pracy zawarłem jedynie fakty, przekazane przez uczestników wydarzeń [...]*.

W bieżącym numerze „Biuletynu Informacyjnego”, którego tytułem jest „Walka sprytem”, przypominamy niektóre z tych relacji.

Kuchnia na rolkach

Architekt **Jerzy Kędziński** jest cywilem z krwi i kości, a mimo to w jego sposobie chodzenia, mówienia wyczuwa się żołnierską postawę. O tym samym zresztą świadczą miniaturki wysokich bojowych odznaczeń – m.in. Virtuti Militari i Krzyża Walecznych – wpięte w klapę marynarki.

W czasie okupacji pracował oficjalnie w biurze projektowym, toteż nic dziwnego, że właśnie jemu emisariusze Podziemia zaproponowali projektowanie i wykonywanie konspiracyjnych lokali z przeznaczeniem na wytwórnie i magazyny broni, a także różnego rodzaju skrytki.

Porucznik „Kalinowski”, bo taki właśnie nosił pseudonim, na propozycję przystał. Wszedł w skład organizacji działającej pod kryptonimem „Traktor”, na której czele stał wybitny polski matematyk prof. dr Stefan

Bryła. Wkrótce zorganizowano wiele przedsięwzięć zajmujących się na dużą skalę instalowaniem skrytek.

– Na czym polegała moja robota? – powtarza pytanie por. „Kalinowski” – No cóż, wydawać by się mogło, że to dziecinnie proste zajęcie. A jednak... Otóż, po pierwsze – musiałem znaleźć lokal, po wtóre – sprawdzić warunki bezpieczeństwa, a więc przestudiować listę lokatorów, kto tam mieszka, jakich mają znajomych, czy nie ma jakiejś „wtyczki” Gestapo itp. Ale i to nie wszystko: trzeba było także pomyśleć o drogach ewakuacji, no i o znalezieniu tzw. maski, czyli zorganizowaniu w lokalu części jawnej, w której zaufany człowiek pracowałby bądź mieszkał. Do tego należy dodać, że wykonywanie takiej roboty wcale nie było proste: nie mogło się rzucać w oczy; np. gruz wynosiliśmy w teczkach, paczkach, a nawet w kieszeniach spodni.

Prawdziwy majstersztyk stanowił lokal konspiracyjnych zebrania przy ul. Leszno, obok dawnego budynku Monopolu Tytoniowego. Otóż na I piętrze, w poprzecznej oficynie, znajdował się pokój z oknem na bramę. W ścianie szczytowej, dotykającej byłego Ministerstwa Skarbu, wykonano otwór zamaskowany przystawioną szopą na materiały i sprzęt przedsiębiorcy remontowo-malarskiego, sierżanta „Sępa”, czyli Aleksandra Kalinowskiego, którego nazwisko, przez przypadek, było zbieżne z pseudonimem porucznika. Od wewnątrz otwór ten zamaskowany był trzonem kuchennym

odsuwanym na specjalnym stalowym rusztowaniu i łożyskach kulkowych. Mechanizm uruchomiło się gwoździem w niewidocznej szczelinie. W razie zagrożenia zebrani mogli wyjść przez ów otwór na teren wypalonej posesji Ministerstwa Skarbu, na pl. Bankowy lub na ul. Elektoralną.

Siedmiomilowe buty harcerzy

W lipcu 1941 roku w Surażu, niewielkim białostockim miasteczku, zawiązała się pierwsza konspiracyjna organizacja pod nazwą Polski Związek Powstańczy, która następnie weszła w skład tworzącej się Armii Krajowej. By mogła rozrastać się z dnia na dzień, – musiała mieć dobrze zorganizowaną łączność. I właśnie pod koniec lata tego roku do Suraża przyjechał były harcerski instruktor z Białegostoku, Leonard Napoleon Kownacki, który nosił pseudonim „Kotwica”.

Pewnego dnia ojciec kazał mi, bym poszedł na łąkę, gdzie stały stogi siana – wspomina uczestnik tamtych wydarzeń, pan **Krystian Chomicki**. – Byli już tam moi przyjaciele: Regina Czackowska i Zygmunt Fijołek. Po chwili przyszedł również „Kotwica”, który powiedział, że poręczyli za nas rodzice i zapytał, czy chcemy walczyć o wolną Polskę. Kiedy odpowiedzieliśmy twierdząco, odebrał od nas przysięgę, a my przyjęliśmy wówczas pseudonimy: Regina została „Kozą”, Zygmunt – „Akacją”, a ja, z powodu małego wzrostu, „Mikrusem”. Stworzyliśmy zastęp łączników AK MAK. Nazwa ta powstała od pierwszych liter naszych pseudonimów. My, łącznicy, a właściwie dzieci – chłopcy liczyli po 13 lat, a dziewczynka zaledwie 11 – mieliśmy mnóstwo zajęć. Niemal codziennie wędrowaliśmy drogą na skrót przez bagna do Białegostoku i Łap, nosząc rozkazy i meldunki. Zbieraliśmy także wiadomości, gdzie okoliczna ludność zgromadziła broń pozostałą po niedawno



fot. archiwum

Skrytka w podłodze w mieszkaniu przy ul. Polnej 46 D. Z lokalu tego korzystał płk. Jan Rzepecki, szef Biura Informacji i Propagandy KG AK

toczących się tu walkach. Terror niemiecki z każdym dniem zaostrzał się. Wielu ludzi z Suraża wywieziono do obozów koncentracyjnych, na roboty przymusowe do Reichu, inni z lękiem i nienawiścią spoglądali na miejscowy posterunek żandarmarii, oczekując, że lada dzień oprawcy w stalowych hełmach po nich przyjdą.

Na jesieni dowiedziałem się, że mam wyjechać do Warszawy, a stamtąd dalej, do Oświęcimia – opowiada pan Chomicki. – Ojciec przyniósł mi specjalne buty zrobione przez pana Fijołka, ojca „Akacji”. W obcasach były skrytki z niezmiernie ważnymi dokumentami, które miałem przewieźć do stolicy.

„Mikrus” włożył podarte ubranie, miał bowiem udawać sierotę, udającego się do rodziny w Generalnego Gubernatorstwa. Brat przewiózł go furmanką do wsi Daćbogi. Stąd poszedł dalej sam. Przedarł się przez dziewięć zapór z drutów kolczastych, oddzielających Białostoczczyznę od GG i doszedł do Małkini. Tam na dworcu poprosił kolejarzy, dzieląc się z nimi żywnością otrzymaną od matki, by zabrali go

do Warszawy. Zgodzili się. Wdrapał się na parowóz i zaszył w ciemnym kącie.

W Warszawie mieszkał jego stryj, Antoni Chomicki, przy ul. Królewskiej 29. Tu właśnie się zgłosił. Stryj natychmiast powiadomił o jego przyjeździe skrzynkę kontaktową, która mieściła się w kiosku w tym samym domu. Po dwóch dniach zgłosiło się kilku mężczyzn. Ci zabrali od niego buty i kazali mu czekać na dalsze rozkazy. Po paru dniach otrzymał buty z powrotem, a razem z nimi bilet i rozkaz wyjazdu do wsi Kosowo koło Brzeźnicy. Tam miał się zgłosić do pani Zofii Wojtasówny i czekać na przyjazd łącznika.

– U pani Zofii przebywałem kilka dni – opowiada „Mikrus”. – Nie chcąc być darmozjadem, pomagałem w gospodarstwie, a szczególnie w pasieniu krów. Pewnego ranka na łąkę przybiegła moja opiekunka i kazała mi iść do chałupy. Czekał tam na mnie jakiś mężczyzna. Był to pan Paluchowski, z którym – jako niby jego syn – pojechałem do Oświęcimia. Stamtąd poszedłem na piechotę do Przecieszyna, do miejscowego dowódcy AK, Jana Michalika, który miał kontakty z obozem koncentracyjnym. Tu znowu oddałem swoje buty. W zamian otrzymałem inne, i po paru dniach wróciłem do Warszawy, a stamtąd do Suraza.

To nie była ostatnia wędrówka „Mikrusa”. Odbył on jeszcze jedną na tej samej trasie. Co woził w swych butach – nie wie, jedno jest pewne, że były to niezmiernie ważne dokumenty, których nie można było przesłać w inny sposób. Największą szansę przewiezienia ich stwarzał ten niepozornie wyglądający chłopiec, w obszarpanym ubraniu, wędrujący z torbą na plecach jakoby w poszukiwaniu zaginionej rodziny.

W 1943 roku „Mikrus” poszedł do leśnych oddziałów partyzanckich, działających w zgrupowaniu „Brześcianka” pod dowództwem mjr. Jana Czubrego – „Orlika”. Tu też doczekał się wolności.

Konspiracyjna skrytka w kolorowym wozie

W lecie 1943 roku podchorąży „Czajka” – bo taki nosił pseudonim **Jan Dudziński** – został wezwany do swojego przełożonego. *Jeszcze dziś wyjedziesz do Łowicza* – usłyszał rozkaz. *Trzeba przywieźć pilnie materiały od leśnych oddziałów. Kontakt z naszym człowiekiem nawiązesz na dworcu w Łowiczu; podejdzie do ciebie i zapyta: »Jak się czuje ciocia Basia«, a ty na to odpowiesz: »Dziękuję, jest zupełnie zdrowa«.*

Na dworcu, rojącym się od przemytników, szpicli i umundurowanych Niemców nie było zbyt bezpiecznie, toteż „Czajka”, nerwowo paląc papierosa za papierosem, rozglądał się, szukając zapowiedzianego kontaktu. Wtem podeszła do niego stara, zgarbiona Cyganka w kolorowej spódnicy i zawodzącym głosem zaproponowała: *Powróżyć panie, powróżyć, Cyganka prawdę ci powie.* Machnął ręką, odpędzając ją od siebie. Ta jednak stała nadal, coś mrużąc pod nosem i bacznie mu się przyglądając. Zdenerwował się jeszcze bardziej. Nie chcąc budzić niczyich podejrzeń, wyszedł przed dworzec. Po paru minutach wyszła również Cyganka i mijając go, zapytała ścisłym głosem: *Jak się czuje ciocia Basia?* Dogonił ją i powiedział: *Dziękuję, jest zupełnie zdrowa.*

Niech pan idzie za mną – usłyszał polecenie.

Szedł parę metrów za nią. Minęli gwarne ulice, znaleźli się na błoniach nad Bzurą. Cyganka szła szybko, nie odwracając się za siebie. Zapadł zmierzch. W leszczykowych zaroślach stał kolorowy wóz, przy którym przykucnięty siedział Cygan. Kapelusz miał mocno nasunięty na oczy, tak że twarzy jego nie można było dostrzec.

– *Niech pan siada i spróbuje cygańskiego gulaszu* – powiedział, nie podnosząc głowy.

„Czajka” był zdenerwowany, chciał więc jak najszybciej załatwić sprawę i wracać do Warszawy. Oстрым głosem zażądał wydania

Pamięć i tożsamość



fot. archiwum

Tradycyjny tabor cygański

przesyłki, zwracając przy tym uwagę na niedopuszczalną lekkomyślność organizowania spotkania na otwartej przestrzeni, gdzie mógł ich nakryć pierwszy lepszy policjant. Cygan nie odpowiedział, gwizdnął tylko cichutko przez zęby. W odpowiedzi rozległy się takie same gwizdy z okolicznych zarośli.

– *Widzi pan, nie jesteśmy sami, nic tu się złego nie może przytrafić, niech się pan nie boi, a przesyłkę wydam* – Podszedł do wozu i z dyszla, z przemyślnie sporządzonej skrytki, wyciągnął pakiet, który przekazał „Czajce”.

Dudziński pożegnał się z nim i natychmiast wrócił na dworzec. Po paru godzinach był w Warszawie i zameldował się u dowódcy. Zwrócił mu uwagę na niedopuszczalne – jego zdaniem – zachowanie Cygana. Kapitan „Maciej” odparł: *Co ty gadasz! Latakosz to nasz najlepszy wywiadowca na tym terenie, wielkie oddał usługi. I jestem przekonany, że wtedy, kiedy z nim rozmawiałeś, włos z głowy nie mógł ci spaść. Cała okolica była obsadzona przez Cyganów, którzy strzegli waszego spokoju i bezpieczeństwa.*

„Czajka” wielokrotnie jeszcze spotykał się z Latakoszem. Jego wóz służył nie tylko jako skrytka do przemykania dokumentów, ale również do przewożenia zbiegłych jeńców wojennych na meliny. Brał również udział w wielu akcjach bojowych.

Z dzielnym Cyganem, kawalerem Krzyża Walecznych, Dudziński spotkał się jeszcze raz po wojnie, w 1948 roku, również w Łowiczu. Był na targu, żona kazała mu kupić patelnię. I właśnie szedł jakiś Cygan, trzymając je w ręku. Zaczepił go. Odwrócił się i wtedy go rozpoznał. Uścisnęli się serdecznie. Dudziński zaprosił go do domu. Latakosz obiecał przyjść, ale niestety nie dotrzymał słowa. Tylko przez jakiś czas, kiedy mieszkał w Łowiczu, zachodziły do niego Cyganki, przynosząc różne narodowe przysmaki, mówiąc, że to od Latakosza. Na pytanie jednak, gdzie on jest, odpowiadały, że fruwa gdzieś z taborem po świecie. Potem „Czajka” wyjechał z Łowicza i ślad się urwał. ■